TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 40. *Chicago, Ills., 1 Kwietnia, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli dostatecznem było, zapłacić hojnie, by do tej kategoryi należeć, to nie bardzo mylono się w przypuszczeniach.

Starzec siedział przed małym stolikiem okrągłym w posępnej izdebce, którą nazywał swoją kancelaryą, zajęty przeglądaniem, przy blasku jednej świecy łojowej, różnych papierów porozrzucanych przed sobą, i okrytych po największej części znakami hieroglificznemi. Były to sprawozdania podwładnych, których za narzędzia do swoich działań tajemniczych używał, Obok niego stał mężczyzna mający włosy twarde i szorstkie jak sierść końska, a wejrzenie zuchwałe i zdradzające zimną odwagę. Był to jego poufnik, znany pod nazwiskiem Tyburn Ned,

Właśnie zdawał swemu zwierzchnikowi sprawę z jakiejś świeżo dokonanej wyprawy, gdy odgłos dzwonka dał się słyszeć u drzwi wchodowych.

— Idź zobaczyć, kto to taki, — rzekł William Dawids, — ale nie otwieraj!

Ned wyszedł, i wrócił po upływie kilku

minut oglądawszy dokładnie przez małą żelazną kratę we drzwiach umieszczoną.

— No któż tam przyszedł? — zapytał stary opryskliwie.

— Nie wiem, lepiej żebyś się sam przypatrzył. Nie zdaje się to być gość pospolity; ma minę książęcą.

— Jakże ubrany?

— Cały zawinięty płaszczem hiszpańskim. U tej ręki, którą płaszcz przytrzymuje dla zasłonięcia sobie twarzy, ujrzałem dyament tak wielki jak ten...

— Dosyć tego! — przerwał Dawids nie chcąc zapewne słyszeć o klejnocie do którego Ned chciał czynić porównanie — Możesz wprowadzić nieznajomego.

Niebawem Miran-Hafaz wprowadzony został do ponurej izdebki. Ned podał mu krzesło, ale nie raczył usiąść. Indyanin zażądał, aby starzec wyprawił swego służącego z pokoju.

— Odejdź, — rzekł Dawids łagodnie, — i zajmij się odesłaniem tych towarów.

Było to wyrażenie umówione między nimi dla oznaczenia, że Tyburn miał skrycie udać się wślad za jakim gościem, by się wywiedzieć, a potem udzielić Dawidsowi szczegółów co do jego mieszkania i nazwiska; ponieważ wielu z tych, którzy się do starego ajenta w trudnem i zawiłem położeniu udawali, nie mieli wcale chęci wymienić mu takowych.

— A teraz chciejże mi pan oznajmić, czego sobie życzysz? — dodał stary, skoro obadwa sam na sam zostali.

Gdyby młody Indyanin nie był uwiadomiony o prawdziwym charakterze człowieka, którego miał przed sobą, byłby się wachał z wynurzaniem, jaki go interes sprowadza, tak powierzchowność Dawidsa czcigodną się zdawała.

— Pan się nazywasz William Dawids? —

— Tak jest.

— Ajent?

— Ajent do wszelkich poleceń na usługi pańskie, — odparł z uśmiechem.

— Mówiono mi o pańskiej zręczności, panie Dawids, i skrzętności, z jaką prowadzisz powierzone sobie interesa. Zapewniono mnie, że nie ma trudności, którejbyś pan nie podjął usunąć.

— Byleby wynagrodzenie odpowiedniem było podejmowanym trudom i pracy.

— Jakaż tedy zapłata dostateczną byłaby za ułatwienie ucieczki w przeciągu trzech dni, więźniowi z Newgate?

— W trzech dniach! krótki termin! — odparł ajent zamyślony, — o cóż ten człowiek oskarżony?

— O zabójstwo!

— O zabójstwo! — powtórzył powoli, niby ważąc starannie wszystkie niebezpieczeństwa. — To będzie trudno!

Gdyby ta rzecz łatwa była do wykonania, nie potrzebowałbym człowieka znanego z doświadczenia jak pan. Więzień, który mnie tak obchodzi, jest nizkiej klasy społeczeństwa; ale nie o to głównie idzie. Może trudności mniejszemi wydadzą się panu, gdy powiem, że właściwie był to tylko zamach; zabójstwo nie zostało dokonane.

— To zupełnie na jedno wychodzi; przedsięwzięcie takie nie tylko będzie niebezpiecznie i trudne, ale bardzo wiele wydatków pociągające.

— Na to jestem przygotowany.

— Można się bardzo narazić w przypadku nieudania się zamiaru! — dodał ajent, rozważając ile mógł żądać.

— Mów pan ile żądasz?

— Pięć tysięcy funtów szterlingów!

Zaledwie starzec wymienił tę kwotę, natychmiast wlepił swe małe, przenikliwe oczy w przybyłego oczekując niespokojnie skutku swych wyrazów.

— A zatem sprawa ukończona! — rzekł Miran obojętnie.

Zamiast się ucieszyć, że jego klient bez targu zgodził się na jego wymagania, Dawids żałował gorzko, że tak mało żądał.

— Oto zadatek, — dodał młodzieniec, wyjmując z pugilaresu banknot w wartości pięćset funtów. — Przyjdę tu jutro wieczorem o tej samej godzinie; wtedy powiesz mi pan, co dotychczas zrobiłeś, jaki ułożyłeś plan i środki do uskutecznienia wspomnianego zamiaru. Jeżeli się przekonam, że się to da zrobić, dam jutro znowu pięćset funtów szterlingów. Jakkże? czy zgoda?

— Tak jest panie, — odpowiedział ajent, chwytając skwapliwie bilet bankowy i zbliżając go do świecy dla przypatrzenia się, czy nie fałszywy. — Od dziś do jutra zastanowię się nad tą sprawą; ale nim jakie rozpocznę kroki, muszę koniecznie wiedzieć nazwisko tego...

— Zdawało mi się żem je wymienił; obżałowany nazywa się Will Sideler.

— Will Sideler, — powtórzył stary kutwa. — To wystarczy.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego oblicze. Wieczór ten był zyskowny. Kilku takich klientów, jak ten młody Indyanin rychłoby go zbogacili.

XVIII.

Najgorszy użytek, jaki można zrobić z człowieka, jest to powiesić go.

Nowożytni prawodawcy zdają się przychodzić powoli do uznania tej ważnej prawdy. Więzienia zaczynają podlegać pewnej karności; zaprowadzono już w nich kapłana i nauczyciela; należy się spodziewać, że z czasem dozorca więzienny niepotrzebnym się stanie.

Przed kilkudziesięciu laty Newgate przedstawiało wcale odmienny widok od tego, jakiem jest dzisiaj. Bogatemu winowajcy pozwalano przepędzać w najwyuzdańszej rozpuście krótki przeciąg czasu między zamknięciem a osądzeniem; rozum i sumienie pospołu w winie zatapiane. Ubogi zaś przekonywał się, że w więzieniu równie jak na świecie, ubóztwo bywa poczytywane za największą zbrodnię.

Dozorcy mając znaczne dochody ze sprzedaży swym więźniom piwa, wódki, tytoniu, schlebiali mającym pieniądze aż dopóki ostatniej gwinei nie przechulali. Bicia, przekleństwa i złe obchodzenie się zachowywali dla tych, co nie mieli sposobu zaspokoić ich chciwości, a których uważali jako pospolitych łotrów i oszustów pozbawionych zuchwałej odwagi, i nie umiejących uzbierać sobie zapasów na czas przygody.

Sala, gdzie więźniowie dzień cały przepędzali, podobniejszą była do publicznego domu gry, niż do kaźni. Śpiewać, grać i pić było na porządku dziennym. Prezesami i wice-prezesami w tem zgromadzenia obierano nocnych złodziei lub rozbójników, których sława rozgłośna dawała im prawo do tych zaszczytów, bo i zbrodnia ma swoją arystokracyę. Dozorcy więzienni po ukończeniu swej służby, brali udział w tych ucztach wyuzdanych; a piosneczki bezwstydne i bluźnierstwa brzmiały w tym przybytku, gdzie tylko jęki i łkania skruchy i żalu powinnyby się odzywać.

W liczbie mieszkańców więzienia Newgate znajdował się starzec chudy, wydatnych rysów twarzy, cery żółto-śniadej, znany pod nazwiskiem Mike. Nie wiedziano dokładnie, czy oczekiwał dopiero swojego osądzenia, czyli też kończył czas swojej niewoli. Dozorcy widocznie mało nań zwracali uwagi; nic nie mówiąc, pozwalali mu przechodzić z podwórza do mieszkania odźwiernego; wchodził i wychodził kiedy mu się podobało. Niektórzy z aresztantów mieli go za szpiega, inni za stróża więziennego.

Każdy go znał, przynajmniej zdawał się być z nim zaznajomionym; zarządzca więzienia nawet, odbywając codzienny przegląd, witał go nieraz lekkiem uchyleniem głowy, co było już wielkim dowodem łaskawości ze strony tego ważnego urzędnika, który rzadko kiedy raczył spojrzeć na swoich podwładnych.

Upodobanie wspomnianego Mike i jego zachowanie się nie było osobliwsze, jak jego powierzchowność; możnaby powiedzieć, że raczej unikał niż szukał towarzystwa drugich. W sali wspólnej bardziej był widzem niż uczestnikiem zwykłych zabaw i rozrywek, jakim się oddawali więźniowie, a jeżeli okazał niejaką chęć zbliżenia się i pociągu do kogo z otaczających, to najczęściej do jakiego ze znaczniejszych zbrodniarzy, których sąd wyznaczył, aby za przykład drugim posłużyli, a to skazując ich na śmierć.

Druga osobliwość, jaką w nim zauważano, była ta, że każdego wtorku, chudy starzec bardzo późno zjawiał się na dziedzińcu więziennym, albo we wspólnej sali, a wtedy jeszcze bardziej był posępnym i milczącym niż zazwyczaj. Za panowania Jerzego III, wtorki każdego tygodnia były przeznaczone na wykonywanie wyroków śmierci na osądzonych przestępcach.

Słowem Mike był człowiekiem nie wzbudzającym sympatyi w ludziach; zdawało się jakby go ludzkość odrzuciła od swojego łona, jak Kaina. Żył samotny pośród bliźnich.

Mike przechadzał się wzdłuż muru na dziedzińcu, podczas upału słonecznego, kiedy Sideler zszedł dla odetchnięcia na wolnym powietrzu. Trzymał krótki cybuch w ustach, wypuszczając w jednostajnych przerwach gęste kłęby dymu.

Przechodząc koło tej żyjącej mumii, Will postrzegł, że Mike przypatrywał mu się z szczególnem zajęciem, które w końcu tak stało się widocznem, że to rozgniewało królikarza.

— Za kogoż mnie bierze ten błazen? — mruknął zaciskając zęby. — Muszę położyć koniec tym natrętnym jego spostrzeżeniom.

W tym celu zatrzymał się nagle, skoro go znowu napotkał, rzucił na niego groźne spojrzenie, którem starzec zdawał się być bardziej ubawionym niż rozgniewanym, bo uśmiechnął się z jakimś wyrazem chłodnego szyderstwa.

Więzień zadrżał, nigdy jeszcze nie widział podobnego uśmiechu i spuścił oczy przed przenikliwym wzrokiem Mikego.

Milczenie obopólne zachowywane ciężyło jeszcze bardziej Sidelerowi; postanowił zatem przerwać je, by się otrząść z tego przykrego uczucia.

— Czy mnie znasz — zapytał.

— Jeszcze nie, ale nie wątpię, że się wkrótce bliżej zaznajomimy! — odparł Mike, a dziwny uśmiech szyderczy znikł z jego twarzy.

— Nie spodziewam się tego, bo krótki czas zostanę w Newgate.

— To prawda, posiedzenia sądowe niezadługo się rozpoczną.

— Ja zaś wkrótce będę uwolniony!

Mike z niedowierzaniem potrząsł głową.

— Powiadam ci, że tylko przez omyłkę tu się znajduję, — mówił dalej Sideler. — Stary notaryusz, doznawszy więcej strachu niż boleści! wyobraził sobie, że to ja go napadłem i okradłem. Zdaje mi się, że mu nikt nic złego nie zrobił, i że tylko dla dokuczenia mi wymyślił tę fałszywą skargę. Ale ja mogę dowieść, że pod ten czas wcale gdzieindziej byłem.

— To źle mieć zatargi z prawnikami, — rzekł Mike po chwili namysłu. — Nie widziałem jeszcze nikogo, coby się wycofał szczęśliwie z tak zawikłanej sprawy, a pan Elworthy slawnie jest przebiegły.

— Pan Elworthy! — rzekł zadziwiony więzień.

— Tak się nazywa ten, któregoś złupił i prawie zamordował; przynajmniej on tak utrzymuje, że ledwo się wyleczył, cudem tylko uniknąwszy śmierci.

— A zkąd-że u licha znasz jego nazwisko?

— Wyczytałem je w księdze więziennej u odźwiernego, w której imiona więźni wraz z treścią oskarżenia są zapisane.

— Toś ty nie aresztant?

— Owszem, jestem także więźniem; ale ponieważ kończę czas mej kary, pozwalają mi swobodnie wałęsać się po całem zabudowaniu. Wiedzą o tem dobrze, że nie myślę uciekać!

Sideler przeciwnie, wielką miał do tego ochotę. Newgate wcale mu nie było przyjemnem, nie żeby się nudził lub czuł brak w czemkolwiek, ale się niepokoił, jak też ztamtąd wyjdzie.

W tem nadszedł dozorca więzienny oznajmiając mu, że ojciec jego chce się z nim widzieć. Sideler nie mający od dawna rodziców, domyślił się, że to jakiś posłannik Miran-Hafaza. Spiesznie wrócił do swej kaźni.

Wchodząc tam, zastał poważnego staruszka, którego odzież i obuwie kurzawą okryte, nosiło dowody dalekiej i uciążliwej wędrówki. Twarz tego oszusta gęstemi zmarszczkami była pofałdowana, siwe włosy otaczały czoło opalone. Zobaczywszy go, każdy mógłby przysiądz że to jakiś poczciwy wieśniak, który całe życie wśród znojnej pracy około roli przepędził, z dala od walki i namiętności światowych.

A jednak rzeczywiście, stary komedyant od lat trzydziestu nie widział pola, nie wychodził za obręb Londynu.

Tym ojcem z sercem rozczulonem, tak zręcznie wynalezionym do tej okoliczności, nie był nikt inny jak William Dawids, ajent do wszelkich poleceń, któregośmy już szanownym czytelnikom przedstawili.

— Synu mój! drogie dziecko moje! — zawołał z doskonale odegraną boleścią, rzucając się więźniowi na szyję. — Hańbisz moją siwiznę, nim się ze zmartwienia w grób położę! Niestety! — dodał spoglądając ze wstrętem dokoła kaźni — po tylo-letniem rozstaniu potrzebaż było abyśmy się w takiem miejscu znowu zobaczyli.

— Na co się przyda płakać po pogrzebie! — odparł Sideler, z trudnością tłumiąc śmiech na widok tej komedyi.

— Oczekiwałeś mnie? — szepnął Dawids, przyciskając do serca więźnia.

— Dobrze już, dobrze! — odparł również cicho Will Sideler.

Przepisy więzienne, choć nie zawsze ściśle dopełniane, wymagały, aby jeden z dozorców był zawsze obecny przy widzeniu się więźni z odwiedzającymi ich przyjaciołmi. Stróż więzienny, który wprowadził ajenta do kaźni mniemanego syna, przewidując, że rozmowa

będzie dlań nudną i obojętną, wyjął lulkę z kieszeni i zaczął palić.

— Muszę koniecznie sam na sam z tobą pomówić, — szepnął Dawids do królikarza.

— Czy mam przekupić dozorcę?

— Nie można.

— Możeby go posłać po wódkę?

— Toby się na nic nie przydało... Już znalazłem!... spuść się na mnie,

— Jakiż twój zamiar?

Módlmy się! — przemówił przybyły, mrugając oczyma, — to sposób doskonały!

Padłszy na kolana, obłudnik zaczął długiemi modłami błagać Boga, aby skruszył serce jego syna. Słowa jego z taką biegłością płynęły, jakby się najdokładniej wyuczył swej roli. Dozorca z początku powoli zbliżał się do drzwi, patrząc obojętnie na rozległy korytarz. Później ta obojętność zaczęła przechodzić w niecierpliwość, którą okazywał, wypuszczając coraz gęstsze kłęby dymu, i suwając nogami, tupiąc i tym podobnie dowodząc, że go to nudzi niezmiernie.

Przybyły nie zdawał się jeszcze blizki ukończenia swych modłów.

— Niech go licho weźmie! — mruknął dozorca, — jeszcze nudniejszy niż nasz jałmużnik! Dosyć jego kazań nasłuchać się muszę co niedziela. Pójdę na chwilę przejść się po sali wspólnej; zobaczę co się tam dzieje...

Z tem postanowieniem przeszedł zwolna przez korytarz i podwórze.

Skoro Will Sideler usłyszał oddalające się jego kroki, chciał powstać, ale ręką i wzrokiem wstrzymał go Dawids na klęczkach; modlił się ciągle, podnosząc głos jeszcze więcej, aż się upewnił że go nikt nie dosłyszy.

— Tylko cierpliwości, — rzekł wstając, — inaczej wszystko popsujesz! Powoli a pewnie, takie jest moje hasło. Czy to twoja kaźnia?

— Tak jest, i na dwa spusty zamknięta.

Ajent zastanawiał się parę chwil; widać że ta trudność niezbyt go niepokoiła, bo nie wspominał już o tem.

— W tym węzełku, — rzekł, — podając więźniowi mały pakiet, — znajdziesz potrzebne narzędzia. Są w niem cztery stalowe sprężyny do przepiłowania żelaza; sądzę, że umiesz się z niemi obejść?

— Zdaje mi się, — odparł z uśmiechem Sideler, chowając węzełek w zanadrze.

— Przyjdę jeszcze nie raz, aby ci udzielić późniejszych wyjaśnień. Radzę ci zaś, nie ufać nikomu. Póki jesteś panem tajemnicy, ona ci posłuży, skoro ją komu powierzysz, zostaniesz jej niewolnikiem.

W szybkiej rozmowie ajent wystawił następnie plan ucieczki; pomysł ten był śmiały i podobny do wykonania.

— Czy mnie zrozumiałeś? — zapytał.

— Wyśmienicie!

— A pewny jesteś własnej odwagi?

— Aż do szubienicy! — odparł więzień z wyrazem bezczelnego zuchwalstwa.

Dawids spojrzał na niego z podziwieniem. Zwyczajem tych ludzi którzy w braku fizycznej odwagi spuszczają się na wybiegi, by dokonać zamiarów swoich, miał i on wielkie poszanowanie dla siły zwierzęcej.

— Musisz mieć wielu przyjaciół, — rzekł do niego, — i to bogatych?

— O, zapewne! — odparł Will, — przyjaciół, co mnie tak kochają, że nie chcieliby abym sam został powieszony!

Kiedy dozorca po upływie blizko godziny wrócił do celi Sidelera, zastał mniemanego ojca z synem siedzących pospołu i trzymających się za ręce. Usłyszeli jego ciężki chód na korytarzu i umyślnie tak tkliwą grupę ułożyli. Widocznie obadwa mieli upodobanie w malowniczych obrazach.

— Już czas się rozejść, — rzekł wchodząc do kaźni.

Staruszek zdawał się przygnębiony rozpaczą, napomniawszy pobożnie więźnia, aby żałował za swoje przestępstwa, wybierał się za stróżem. Ten wziął go pod ramię zniecierpliwiony, bojąc się, żeby drugie kazanie nie nastąpiło.

Siwy wieśniak przyjął tę mniemaną grzeczność z pokornem dziękczynieniem wynagradzając ją u drzwi więzienia wetknięciem pół gwinei w rękę nadzorcy.

— Hm, to nie zły gość! — mruknął tenże, — tylko zdałoby się, aby nie odprawiał tak długich modlitw.

XIX.

Przy końcu drugiego dnia podróży, kareta lady Mowbray wraz z Elleną i dwiema z zakładu obłąkanych, wtoczyła się w cienistą ulicę carrowskiego zwierzyńca i zatrzymała się przed

opustoszałem Opactwem. Wszystkie okiennice były pozamykane, nic nie okazywało powierzchownie, aby zamek był zamieszkanym.

Sierota westchnęła i ukryła oblicze w dłoniach, by zasłonić łzy które zwilżały jej lice, gdy sobie przypomniała dawniejsze przybycie do tego gmachu i porównała z wjazdem teraźniejszym. Na przyjęcie jej nie było teraz ani poczciwej mistress Jarmy, ani zacnego sir Williama, dreszcz ją przyniknął za wejściem do obszernej sali. Zdawało się biednej dziewicy, że przestąpiła próg grobu.

Ayah i kilku służalców, w których lady Mowbray zupełne pokładała zaufanie, byli jedynymi mieszkańcami zamku.

Smagła twarz Zary jeszcze posępniejszy przybrała wyraz, gdy oczy jej spotkały się z łagodnym wzrokiem Elleny, zdradzającym tylko niemy wyrzut, jakby ją pytała, czy to jest nagroda za to, że jej życie ocaliła owej pamiętnej nocy, w czasie ucieczki z Cromwell-House. Mimo pozornej oziębłości, Indyanka była wzruszoną.

— Nie zna mnie jeszcze, — szepnęła ayah sama do siebie.

Czy te słowa wypływały z chwilowej skruchy, czy też ayah miała postanowienie bronić tej, którą dotychczas tak srodze prześladowała... Przyszłość to pokaże.

Uwięziona, tak bowiem uważać można byłą biedną Ellenę, została zaprowadzoną do pokoju, który dawniej zajmowała, za galeryą obrazów familijnych.

— Oto mieszkanie, z którego nie wyjdziesz! — rzekła jej wujenka surowym tonem, — aż się wyrzekniesz swej haniebnej miłości dla tego przeklętego Henryka, i zastosujesz się do życzeń twego opiekuna.

— O ja ztąd prędzej wyjdę! — przemówiła miss Vere.

— I kiedyż to, radabym wiedzieć?

— Jak mnie wyniosą, by złożyć zwłoki moje do tego sklepienia, gdzie już spoczywa ten, którego ramię bronić mnie nie może! Jeżeli duszom umarłych wolno zajmować się tymi, których za życia miłowali, pewna jestem, że mój wuj smuci się teraz widokiem mych cierpień. W tem przekonaniu czerpię siłę i odwagę do dalszej walki.

Śmiertelna bladość okryła lice lady Mowbray, a złość wykrzywiła jej rysy, tak ją gniewał upor młodej dziewczyny, którą za dziecko uważała. Obudziły się mściwe uczucia w tej przewrotnej kobiecie; walka ta podżegała jej dumę, i przysięgła w duchu, że żadna potęga ludzka nie zdoła przeszkodzić połączeniu Elleny z Miranem małżeńskim węzłem. Wściekłość nią miotała tak namiętna, że podniosła rękę, aby uderzyć siostrzenicę.

Widok tej zamierzonej zniewagi wyrwał Zarę z okazywanej do tej chwili obojętności; mogła knuć spisek przeciw chęciom swej wychowanki, nawet zniweczyć jej szczęście, ale nie byłaby ścierpiała, aby kto inny dopuścił się na niej gwałtu.

— Z daleka od miss Elleny! — zawołała spokojnie i dobitnie, — dziecię, które ja na mojem łonie wypiastowałam, nie jest niewolnicą!... Nie lękaj się niczego, Elleno! — dodała wzruszonym nieco głosem, — jestem tutaj dla bronienia cię, póki mi tchu stanie; ta spodlona kobieta nic ci złego nie uczyni!...

— Ja spodlona! — powtórzyła oburzona lady Mowbray, — czy to istotnie sługa Miran-Hafaza odważyła się tak powiedzieć?

— Obie jesteśmy jego sługami, bo nam płaci, — odparła Zara. — Moją nagrodą są jego przyjazne słowa i łaskawe spojrzenia, przywiązanie i ufność, jaką mnie zaszczyca, i szczęście, jakiego doznaję służąc mu, twoją zapłatą jest złoto, którem cię hojnie obdarza i dyamenty, któremi się stroisz z jego łaski! Wierzaj mościa pani, nasz wspólny pan ocenia wartość naszych usług: mnie szanuje, a gardzi tobą!...

— Zaraz mi wyprowadźcie za drzwi tę zuchwałą niewiastę! — krzyknęła lady Mowbray uniesiona do najwyższej zapalczywości gorzkiemi przymówkami Indyanki.

Obie dozorczynie przystąpiły do wykonania tego rozkazu; ale choć przywykły mocować się nieraz z choremi, których pilnowały, choć silne i odważne, zostały jednem pchnięciem odparte przez Zarę, która z zimną krwią odrzuciła je od siebie jak tygrysica, opędzająca się od uprzykrzonej napaści wilków.

— To szatan nie kobieta! — rzekła jedna z nich.

— Ma dłoń żelazną! — dodała druga, przecierając sobie łopatkę, po której Zara uderzyła.

— Idźcie zawołać lokajów! — krzyknęła pułkownikowa, — ta krnąbrna istota musi natychmiast opuścić zamek, albo ja ztąd wyjadę!

— Jak się pani podoba, możesz uczynić! — odparła Indyanka, rzucając na nią wzrok pełen pogardy, — ja tu zostanę! Gniew panią zmysłów pozbawia; taki to skutek wywiera on na słabych umysłach! Przypuśćmy, żebyś mnie na chwilę oddalić mogła od miss Vere, nie potrzebowałabym nic innego zrobić, jak tylko pobiedz do wsi, rozgłosić, że żona pułkownika Mowbray więzi w zamku siostrzenicę nieboszczyka baroneta, i że ją przedała jako towar Miranowi-Hafaz. Cała gromada ze wsi przybiegłaby na pomoc, wypędziliby cię jak zapowietrzoną, a oswobodziliby Ellenę. Ale szkoda tyle słów marnować; aż do przybycia przyszłego małżonka miss de Vere, ja jestem jej opiekunką i dozorczynią! Ani ty, mościa pani, ani jędze, któreś sobie przybrała do pomocy, nie będziecie nad nią mieli żadnej władzy i zwierzchnictwa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.

ROZDZIAŁ I.

Słońce ze skrwawionem obliczem zwolna ustępuje nadchodzącej nocy. Drga jeszcze, twarz zasłania aż do połowy welonem z chmur uprzędzonym — jeszcze widać tylko rąbek nad chmurą — raz jeszcze zadrgnęło i... znikło. Noc, po zniknięciu słońca, czując się panią natury, świat ciemną szatą okrywa; gwiazdki srebrzyste spoglądają na świat; zdają się mrugać ku niemu, jakby mu chciały oznajmić, że ciemność długo nie potrwa, bo książe nocy — księżyc — już jest w podróży. W istocie niebo w stronie Karpat oblewa się różem... coraz jaśniej... gwiazdki bledną... aż naraz księżyc wychyli czerwoną, pyzatą, ciekawą swą twarz z po za szczytów Karpat, rozpędził ciemności — i zaczął śledzić, co się na ziemi dzieje. Snadź nic nowego nie spostrzegł, bo się szybko posuwał w górę.

W koło Kostrzewa tylko las szumiał jakąś dumę... czasem zatrząsł wierzchołkami, jak człowiek, w myślach zatopiony, głową. Nad czem dumał! — któż zgadnie... — nikt języka drzew ani wiatrów nie rozumie. Wieże zamkowe, oblane srebrzystem światłem księżyca, rzuciły długi cień na ziemię. Puszczyk siadłszy na szczycie wieży, trzykroć głośno zajęknął. Na to hasło sowy, puchacze, nietoperze wysuwają się z nor, cicho szeleszcząc miękkiem skrzydłem, oblatują zamek w około, a potem rozlatują się po okolicy. I znów cisza, znowu nie słychać życia.

Dwudziestu zbrojnych jedzców pędziło cwałem gościńcem ku Kostrzewu, a na ich czele mąż w czarnej zbroi. Blade światło księżyca odbijało

promienie na piersiach jeźdzców: miecze wydawały szczęk, a kity na szyszakach powiewały na wszystkie strony. Mąż w czarnej zbroi stanął, konia w miejscu osadził, — na zamkowej wieży rogowa zadźwięczała trąbka, most spadł z łoskotem, i jeźdzcy zniknęli za bramą.

Zamek zdawał się być opuszczonym, gdyż brama tylko dla zwyczaju zamknięta. można ją bowiem było pomimo zamków i zapór, otworzyć. Wielkie wyłomy w murze, fosa zasypana, most zrujnowany: wszystko to świadczyło o niedawnym najeździe i zburzeniu Kostrzewa.

Pan tego zamku, Adam Kostrzewski, wyjechał przed kilkoma latami z Bolesławem Smiałym na zdobywanie Kijowa. Minęły dnie, tygodnie, lata, bez żadnej o nim wieści. Nikt nie wiedział, czy Adam żyje, czy poległ... Na zamku pozostała z kilku sługami żona Kostrzewskiego — Marya. Ile ona łez wylała, ile nocy bezsennych przepędziła!

Wszelkie dopytywania były daremne, nikt nie mógł dać jej jakiejkolwiek wiadomości. Rycerze polscy zostawali w Kijowie przez lat kilka, a do Polski nie doszła wieść kto żyje, lub kto poległ. Rozprzężenie obyczajów nastało ogólne. Żony po owych rycerzach, nie mogąc się doczekać przybycia mężów, wstępowały w nowe związki, a nawet kobiety, które chciały pozostać wiernemi, zmuszano gwałtem do zrywania ślubów. Rycerze wróciwszy później do strzech rodzinnych, zastawali częstokroć już swych zastępców. Dziwić się też nie można, że się srogo mścili i na żonach niewiernych i na uwodzicielach.

Zalotnicy tłumnie oblegali Kostrzew, aby Maryą nakłonić do zerwania ślubów. Biedna kobieta cierpiała wiele, bardzo wiele, bo kochała Adama czule. Postanowiła więc pozostać mu wierną; nie chciała ani słuchać o innych związkach, nawet i w tym razie, gdyby Adam istotnie nie żył, a cóż dopiero, gdy nie wie jeszcze na pewno o jego losie. Samo nawet wspomnienie zerwania świętych ślubów ściskało jej serce: ona tak Adama kochała — i nie miała mu pozostać wierną? Jeźli Adam nie żyje, to czyż duch jego z góry na nią nie patrzy? Czyż śmiałaby się modlić do Boga, przed którym duch jego stoi? — A ona jeszcze nawet nie jest pewną, czy umarł, raczej ma mocną nadzieję, że żyje, chociaż nie wie, zkąd się jej ta nadzieja bierze.

Marya nie straciła nadziei, lecz Pan Bóg postanowił ją w jej przedsięwzięciu wystawić na próbę.

* * *

Po siedmiu latach dowiedziano się na Kostrzewie, że Adam znajduje się w Krakowie, przy boku króla, zatrzymany sprawami kraju. Na tę wieść burgrabia szybko wysłał posłańca do stolicy z wiadomością do Adama, a na tę wiadomość Kostrzewski wrócił co prędzej na zamek. Jeździec w czarnej zbroi, którego jużeśmy widzieli był właśnie Adam Kostrzewski.

Wpadł do komnaty i nie zrzucając zbroi, zaczął szybkim krokiem chodzić po obszernym gmachu, mdławem oświetlonym światłem. Byłto mężczyzna wysoki, barczysty. Twarz jego marsowata przystrojona była sutym wąsem — a broda w gęstych kędziorach spadała mu na żelazem okute piersi. Na głowie miał stalowy szyszak z ogromną, na wszystkie strony chwiejącą się kitą, a długi miecz jego brząkał złowrogo po kamiennej posadzce komnaty. Jedną ręką gniótł piersi, jakby chciał wewnętrzny ogień przygasić, a drugą ściskał konwulsyjnie rękojeść szablicy. Czasem przystanął, podumał, zgrzytnął zębami — i znów rozpoczął przechadzkę po komnacie.

Jeden z dworzan, imieniem Jerzy, stał z boku milczący, nie śmiejący panu myśli przerywać. Jerzy wiekiem i wzrostem dorównywał Adamowi — brakło mu tylko brody i atletycznej postawy. Twarz pełna, czerstwa, ozdobiona bujnym, czarnym wąsem, oko pałające, znamionowały pełnego życia młodziana. Na lewym policzku miał czarną plamkę, która go bynajmniej nie szpeciła, owszem dodawała mu jakowegoś wdzięku i uroku.

Upłynęło tak dużo czasu... Adam chodził... Jerzy dumał. — Naraz Adam stanął, zdjął szyszak, a zwracając się do Jerzego zawołał:

— Jerzy, zawołaj Skirmunta!

Dworzan wyszedł i za chwilę wszedł ze Skirmuntem, który pełnił na zamku obowiązki burgrabiego. Skirmunt wszedłszy, skłonił się z uszanowaniem Adamowi i stanął wyprostowany, oczekując rozkazu pana. Był to mężczyzna już znacznie podeszły w latach. Posrebrzona wiekiem broda spadała mu na skórzaną kurtę, w rękach trzymał wysoką, baranią czapkę, a u pasa wisiał mu pęk rozmaitych kluczy.

Adam stanął, spojrzał surowo w oczy Skirmunta i rzekł gorzko:

— Starcze! tak to dotrzymałeś przysięgi? Tak mi żonę i zamek oddajesz? O! hańba wam, żeście pani waszej obronić nie potrafili!

— Niesłusznie czynisz mi wyrzuty, mój panie, — rzekł Skirmunt trzęsąc głową. — Patrz tu na moje czoło, czy widzisz na nim szczerbę?... To od miecza najezdnika w obronie twej żony, a mojej pani.

Opowiedz mi więc raz jeszcze, mój Skirmuncie, jak się to stało — rzekł po małej chwili.

— Smutna to historya, — rzekł starzec, — i nieradbym ją odświeżać, bo ona mi sama co noc we śnie przed oczyma stawa. Lecz jeżeli każesz, posłuszny jestem twemu rozkazowi.... Mnóstwo swawolnej młodzieży oblegało nas długo, ale Marya ze wzgardą wszystkich odepchnęła. Ci więc zrażeni, więcej już nie bywali. Jeden, Michał Różewski, nie zraził się i nie przestał panią swemi odwiedzinami prześladować. Niemogąc go się inaczej pozbyć, zamknęliśmy mu bramę przed nosem, ale niestety!.. Michał rozdraźniony napadł nas ze swymi ludźmi, zamek zburzył, a panią uwiózł. Broniliśmy się, — ta ręka, panie! niejedną głowę najezdników strąciła z karku — ale w końcu ległem pod murem, własną krwią zalany. Powątpiewano o mem życiu, lecz Pan Bóg mnie jeszcze ozdrowił, abym mógł tobie zdać świadectwo. — Widziałeś mury zamkowe potrzaskane? czyż i to nie świadczy żeśmy dobrowolnie pani nie wydali? A iluż dworzan, których zostawiłeś, już nie znajdziesz? bo wszyscy dawno od łuków i toporów najezdnika pomarli! O! panie, ty się pomścisz na Różewskim, nieprawdaż?

— O! tak Skirmuncie, zemszczę się, — rzekł Adam uniesiony, — zemszczę się; nie będzie mógł napastnik długo tryumfować ze swego zwycięztwa nad kilku starcami i słabą niewiastą. Przysięgam, że prędzej zbroi nie złożę, dopóki przykładnie nie pomszczę mej krzywdy!

Skirmunt odgarnął srebrne włosy, spadające mu na wysokie czoło i rzekł:

— Marya jest prawda w mocy Michała, ale mu się statecznie opiera, i panie, taką samą wiarę w niej znajdziecie, z jaką ją zostawiliście. Wszelako wielki czas ją oswobodzić, gdyż wreszcie może uledz przemocy, lubo wiem, że na duchu nie upadnie.

— Jutro nocą uderzymy na Różewo. W puch rozbiję ową siedzibę łotrów! — krzyknął gromkim głosem Adam i stuknął mieczem o posadzkę.

— Takie jest i moje zdanie, — rzekł powolnie Skirmunt, — mamy na każdy przypadek około sto i dwadzieścia ludzi, ty panie przywiodłeś dwudziestu dzielnych rycerzy; a z tą garsztką możemy śmiało na Różewo uderzyć. Jest tam podobno znacznie więcej ludzi, ale przy nas jest sprawiedliwość, a przy pomocy Boga spodziewam się, że zwycięztwo będzie po naszej stronie. Jednak dla tego, że nasze siły tak małe, trzebaby najprzód języka dostać, miejscowość dokładnie zbadać. a przedewszystkiem wasz przyjazd zataić. A tymczasem trzeba...

— Stój starcze, stój! Wyborna twa rada! — zawołał Adam szyderczo; — czyż mam pojechać, zczerniałe mury zamczyska oglądając i pod murami bezwładny wzdychać, kiedy Marya uwięziona? Nie, Skirmuncie, twoja rada dobra, ale nie dla mnie. Jam w tej chwili gotów uderzyć. Więc uderzymy, zamek w puch rozbiję, a tego łotra zduszę!..

— Dobrze uderzymy i zwyciężymy, o tem bynajmniej nie wątpię; jednak mam powody, dla czego chcę zasięgnąć języka. Musimy wpaść nagle, niespodzianie, nim się Michał spostrzeże, gdyż....

— No i cóż dalej — rzekł Adam niecierpliwie, wpatrując się w Skirmunta.

— Panie, wiem pewno, że Michał, gdyby się spostrzegł, wołałby Maryą własnym pchnąć mieczem, niż nam ją wydać.

Na te słowa struchlał Adam — drżącą ręką otarł pot z czoła, a błędne oko powiódł po komnacie. Poznał, że Skirmunt mówił prawdę, poznał, że tylko tak wpaść powinni, aby Michał pierwszy padł zwyciężony. Zastanowił się więc chwilę — wreszcie podniósł wzrok na Skirmunta, i rzekł:

— Masz słuszność starcze, i rada twoja jest dobra. Ale kogóż poślę? Któż się odważy do jutra poznać dobrze miejscowość?... chyba ty, Jerzy!... — rzekł Adam zwracając się do zagadnionego młodziana.

— I do piekieł gotów jestem zstąpić dla twej usługi! Chętnie jadę, choćby mi nawet przyszło życiem przypłacić, — krzyknął młodzieniec.

Oblicze Adama wypogodziło się na ten dowód przywiązania. Spojrzał mile na niego i rzekł:

— Jedź więc zaraz teraz, poczciwy Jerzy,

a jutro przed południem powinieneś powrócić. Pamiętaj, że od twego sprawienia się cała wyprawa zależy.

Skirmunt i Jerzy, skłoniwszy się, wyszli, a w pół godziny później tętent kopyt końskich oznajmił Adamowi, że Jerzy już się puścił w podróż.

* * *

Zorza już wschodnią stronę nieba purpurą oblała, gwiazdki zbladłe drgały, a księżyc stanął na samym krańcu zachodniego nieba i smętnie na ziemię spozierał, kiedy Jerzy spostrzegł wyniosłe baszty zamku Różewa. Byłto zamek zbudowany w czworobok, otoczony wysokim murem. Na wierzchu murów sterczały w górę długie, ostre, żelazne zęby, jakby chciały rozszarpać śmiałka, którybyby się odważył nogę na murze postawić. Z po za murów wznosiły się w każdym rogu baszty, w których porobione otwory i strzelnice dla łuczników czerniły się z daleka. Zamek oblewały ze zachodniej i z wschodniej strony jeziora, a z północy przypierał on do niebotycznej skały; jedynie był dostępnym z południowej strony, ale za to z tej strony oblewała go głęboka fossa, przez którą prowadził most zwodzony. Przy moście znajdowała się jedyna jedna brama, zawsze na mocne zapory zawarta. Około ćwierć mili naprzeciw bramy rozciągał się las pełen błota i bagien, groźnych dla niedoświadczonych okolicy.

Jerzy uwiązał w lesie spoconego konia, a sam okrywszy się burką bez szabli, tylko z ostrym puginałem w zanadrzu, zbliżał się spiesznym krokiem do zamku. Obszedł go w około, o ile go obejść było można, pokiwał głową, niezadowolniony ze skutku swych badań. Z południa dojść do zamku niepodobna, bo skała nadto była stromą — a jakim sposobem możnaby się dostać do zamku przez wodę? Potrzebaby chyba skrzydeł ptaka, lub pletwów rybich! Prawda, że z południa zamek był dostępnym i siłą natężoną możnaby go zdobyć — ale cel byłby chybionym. W czasie bowiem oblężenia byłby Michał mógł całą swoją wściekłość wywrzeć na Maryi. Jerzy usiadł na kamieniu nad jeziorem i puścił myślom wodze. Stado kaczek przeleciało mu nad głową... on tego nie słyszał; kilka czapli spłoszonych jego krokami krążyło w około, napełniając okolicę krzykiem... on tego nie słyszał. Dopiero słońce, spojrzawszy mu w jego oblicze, zbudziło go z zamyślenia — i snadź coś mu w głowie zajaśniało, bo czoło wypogodził, wyciągnął zaciśniętą pięść ku zamkowi, niby grożąc. Potem spiesznie odwiązał konia, siadł i popędził z powrotem do Kostrzewa.

Skirmunt i Adam oczekiwali niecierpliwie przybycia Jerzego, a skoro przybył, zamknęli się wszyscy trzej w komnacie Adama i odbyli tajną naradę.

* * *

Słońce wzbijało się już ku południowi; niebo tak było czyste i błękitne, że najbystrzejsze oko nie znalazłoby na niem chmurki. Byłto czas wiosenny; natura ożywiona dobroczynnem ciepłem słońca, uśmiechała się kwiatkami, które rozlewały woń przyjemną na około. Wszędzie gdzie oko spoczęło, znajdowało miłą zieloność. Dzikie gęsi kąpały się w zwierciadlanej powierzchni jeziora Różewskiego, a kaczki bobrowały w trzcinie odzywając się krótkim, przeraźliwym wrzaskiem. Chmura czajek i rybitw obsiadła brzegi jeziora i zaczęły igrać... nagle czaple i rybitwy w górę uleciały napełniając powietrze smętnym, piskliwym głosem. Kaczki ucichły, gęsi zbiły się w gromadę i wyciągnęły długie, szare szyje, aby dojrzeć przyczynę obawy.

Mężczyzna okryty płaszczem pielgrzymim, z kijem w ręku, wolno wlókł się ku zamkowi Różewskiemu. Długa, siwa broda spływała mu na piersi, a włosy krótko strzyżone, odsłaniały wysokie śmiałe czoło. Pielgrzym pomimo sędziwego wieku, krzepko się trzymał, a chód mocny i silny świadczył o jego sile. W miarę jak się zbliżał ku zamkowi, stawał się chód jego wolniejszym słabszym, niby mdlejącym. Śmiało i bez wachania zbliżył się do bramy i trzykroć zastukał. Otwarło się okienko po lewej stronie, a strażnik zapytał:

— Kto tam idzie?

— Biedny pielgrzym, który pragnie spocząć i posilić się. Idę zdaleka i wiele wycierpiałem przeto nie odmawiajcie mi przytułku do jutra rana.

Strażnik się oddalił, a w krótce okazały się w okienku dwie przenikliwe źrenice burgrabiego, który je przez kilka chwil w pielgrzymie zatopił. Pielgrzym wzrok burgrabiego wytrzymał. Okienko się zamknęło i wnet zgrzytnęły żelazne zapory i brama się otworzyła.

Pielgrzym szybko się wsunął, jakby z obawy żeby go jeszcze nie wypchnięto za bramę. Burgrabia wziął pielgrzyma i zaprowadził do swego pomieszkania.

— Z daleka idziecie, ojcze? — zapytał burgrabia wszedłszy do pomieszkania.

— Z daleka, z bardzo daleka, — odrzekł pielgrzym, — byłem w ziemi świętej. Oto mam jeszcze ziemię z Golgoty, a tu w torbie obrazki...

— Może co zjecie, poczciwy staruszku, — rzekł burgrabia, stawiając przed gościem zakąskę.

Pielgrzym bynajmniej się nie wymawiał, tylko z dobrym apetytem począł zajadać, co mu burgrabia przyniósł.

Po chwili zapytał pielgrzym:

— Dawno nie byłem w mym rodzinnym kraju, nie wiem więc, co się tu dzieje. Czyż nie moglibyście mi pokrótce opowiedzieć?

— Ha! niedobre rzeczy, mój ojcze, — rzekł burgrabia. — Król Bolesław niedawno powrócił z Kijowa, ale ani nie do poznania. Pomimo, że nie lubi, aby kraj rozpustował, sam jednakże na wiele złego się puszcza, a nawet z Biskupem Szczepanowskim zgodzić się nie może. Biskup nawet w oczach samego króla cud uczynił, ażeby go na dobrą drogę wprowadzić... ale to wszystko nie pomaga.

— Mówicie o cudzie, cóż to za cud?

— Nie dziwię się, że tego nie wiecie, bo idziecie z daleka, ale my, myśmy własnemi oczyma na to patrzeli. Oto tak się stało. Biskup posiada wioskę, nazwaną Piotrowin. Kupił ją już dawno od rycerza Piotra, ale że Piotr już dawno umarł, przeto król ze zemsty umyślił Biskupowi ową wioskę odebrać, bo jedynie nieboszczyk Piotr mógł dać świadectwo rzetelnego nabycia. Król więc w wyznaczonym czasie zasiadł do sądu, a i Biskup sam także stanął. Wtedy rzekł Biskup, że nie mając na swą obronę innego środka prócz Boga i nieboszczyka Piotra, chce z pomocą Boga onego zmarłego wskrzesić, aby zdał świadectwo. Tak król, jak i obecni panowie uśmiechnęli się na słowa Biskupa, ale on ufny w pomoc Najwyższego, udał się w licznem towarzystwie do grobu Piotra, i tam w oczach wszystkich wskrzesił zmarłego. Trup, już na pół spróchniały, powstał; Biskup, wziąwszy go za rękę, przyprowadził przed króla. Tu nieboszczyk zdał świadectwo, napomniał króla — i wrócił się napowrót do grobu.

— Smutnie to, smutnie, jeśli aż cudu potrzeba, aby porzucić bezbożne życie...

— Czy myślicie staruszku, że się Bolesław poprawił? O nie, owszem czycha teraz podobno nawet na życie tego świętego Biskupa. Daj Boże aby tego nie dokonał, boby wielkie nieszczęście na cały kraj spaść mogło. I tak już nieład wielki panuje — kto mocniejszy, ten lepszy, a słabszy ulegać musi.

— Wielkie to nieszczęście, jeźli panowie między sobą się wadzą, rzekł pielgrzym, kiwając głową; — ale jak mi się zdaje, pan tego zamku obawiać się nie potrzebuje napaści, bo ile widzę, to jest obronny zamek.

— Tak to prawda, odrzekł burgrabia, — obronny jest nasz zamek, ale wszakże obronniejsze warownie w perzynę obrócono. My, teraz zwłaszcza, mamy się bardzo na baczności, bo jak Kostrzewski powróci, to wątpię, aby się bez bitwy obeszło.

— Jakto? a cóż to za Kostrzewski, i czemu on na was godzi? — zapytał pielgrzym ciekawie.

— Ha! to rzecz bardzo zwyczajna u nas pod te czasy. Widzicie ojcze, — rzekł burgrabia głosem przytłumionym, — oto mój pan Różewski, w nieobecności Kostrzewskiego wziął przemocą jego żonę i trzyma ją tu uwięzioną. Niebożątko nie chce mu ręki swej oddać, ale może wreszcie ulegnie, bo pono Kostrzewski nie żyje, — przynajmniej mój pan tak utrzymuje. Ale może to nie prawda, bo czemuż my zawsze trzymamy się na pogotowiu do walki?

— Jak wiecie, — rzekł pielgrzym, — zawsze na złodzieju czapka gore, a chociaż Kostrzewski nie żyje, to cienia się jego obawiacie. Wreszcie wątpię czyby ich napad na co się przydał, bo skrzydeł nie mają, a Bóg też dla nich cudu czynić nie będzie. Ależ sam pan, czy on zawsze przygotowany na napaść? W razie napadu, cóż onby z ową uwięzioną kobietą zrobił?

— Tego nie wiem, gdyż z panem nie mam tyle styczności, — odrzekł burgrabia. — To jednak pewna, że gdyby Kostrzewscy się pokazali, a czego Boże broń, gdyby nas zmogli, to on prędzej swój własny miecz w jej łonie zatopi, niż by im ją wydał.

Pielgrzym zatrząsł się na te słowa, uczuł, jak mu krew do głowy uderzyła, ale chamując się rzekł z udaną obojętnością:

— Ileż was tu jest zdatnych do broni?

— Przeszło dwieście chłopa.

— A Kostrzewski ilu mieć może?

— Ha! tego nie wiem, ale pewno o połowę mniej.

— No! więc nie potrzebujecie ich się obawiać, boście wy o wiele mocniejsi. A kiedy Różewski chodzi spać? — zapytał pielgrzym obojętnie.

— Nigdy przed północą, — mówił burgrabia poufale, — ale też nigdy później. Zwykle wieczorem chodzi on na pokoje Maryi i tam zostaje czas niejaki, czasem prędko od niej wraca, a wtedy zły jak szatan, wrzeszczy, klnie, że aż zgroza słuchać. Takie wieczory bywają najczęstsze.

— A o którym czasie chodzi na jej pokoje?

— Około dziesiątej i bawi do jedynastej.

— A gdzież jej pokoje? — zapytał pielgrzym, nie mogąc pochamować niecierpliwości.

— Tam na prawem skrzydle; a tam na lewem skrzydle samego pana sypialnia. Ale cóż wy się o to wypytujecie, albo cóż was to obchodzi? — zapytał burgrabia i spojrzał badawczo na pielgrzyma.

— Nic mnie to obchodzi, ale...

W tej chwili wszedł na szczęście strażnik i przerwał mowę pielgrzymowi. Burgrabia zwrócił się do wchodzącego i zapytał, po co przychodzi. Strażnik odpowiedział, że burgrabia ma natychmiast przyjść do pana. Burgrabia ze strażnikiem natychmiast wyszli.

Pielgrzym sam pozostawszy, powstał, podszedł ku oknu, zajrzał do komory, badał zamek u drzwi, spoglądał ciekawie po izbie. Izba była obszerna, całkiem zakopcona, jedno okno okratowane wychodziło na mury zamkowe. Po prawej stronie prowadziły drzwi do komory, w której maleńkie okienko mało co światła przypuszczało. Mury były grube, tak, że nic nie było słychać, co się po za niemi działo. W momencie pielgrzym zbadał to wszystko. Wziął torbę przed nim leżącą, otworzył w niej tajną skrytkę, wydobył śklniący puginał, i spróbowawszy ostrza na paznokciu rzekł sam do siebie:

— Żal mi tego człowieka, ale już się stało...

To wymówiwszy, schował puginał w zanadrze.

Po niejakiej chwili powrócił burgrabia z miną zasępioną, a jakiś silny niepokój widocznie miotał jego zamysłem.

— Źle, mój ojcze, źle, — rzekł do pielgrzyma, — Kostrzewski wrócił i straż musi być czujniejsza, bo mi Różewski wielką baczność zalecił. Wasze szczęście, ojcze, żeście przed tą chwilą zawitali, bobym was już teraz nie był wpuścił, mimo waszej pielgrzymiej sukni.

Pielgrzym zdziwiony powstał i z obawą wyrzekł:

— Więc Różewski już... więc wie, że Kostrzewski wrócił! więc wie!... Ha! tem lepiej! będzie się miał na ostrożności... — dodał.

— Nie obawiajcie się, ojcze, — rzekł burgrabia z uśmiechem, — nie miejcie obawy, chociażby nas napadli, to wam włos z głowy nie spadnie. Kostrzewski przecież nie poganin, na was on ręki nie podniesie. Zresztą już i tak wieczór, więc za chwilę podniesiemy most do góry, to nikt tu do nas nie zajrzy, a jutro chcecie i tak już odejść.

— Więc Różewski wie.... — rzekł pielgrzym do siebie, jakby się nie mógł z tą myślą pogodzić.

— A wszakże wam powiedziałem, że wie, — rzekł z mocą burgrabia i wlepił w pielgrzyma swe małe, przenikliwe oczy.

* * *

Skrzydło na prawej stronie od mieszkania burgrabiego zajmowała Marya Kostrzewska. Miała obecnie około dwadzieścia i sześć lat, a krótko przed wyprawą kijowską poszła za Adama. Była to jedna z tych kobiet, na którą natura cały zdrój piękności, dobroci, łagodności i wdzięku wylała. Wszystko, co tylko wdzięk kobiety podnieść i miłą ją uczynić może, wszystko to posiadała Marya. Kibić giętka, wysmukła, rysy twarzy regularne, silne na pierwsze spojrzenie robiło na każdego wrażenie. Kruczy włos, spleciony w kosę, nader pięknie odbijał się od alabastrowej białości twarzy i ramion. Jej czarne oczy paliły na wskroś, jak dwa żarzące się węgle. Teraz kiedy była uwięzioną, znikł rumieniec z twarzy, oczy miała zawsze zamglone, zawsze mgłą zaszłe. Na piękności przez to mało co, albo prawie nic nie straciła — owszem jej smętność chwytała każdego za serce. Już przeszło półroku była uwięzioną; któż policzy łzy które wylała? któż spisze modły, które do niebios z jej ust uleciały? Sam Bóg tylko, bo człowiek do tego za słaby.

Michał dał jej kilka służących kobiet, które były jej nieprzyjaciółkami, jak uczynnemi, dobremi sługami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

ZŁOTY KOŁOWROTEK.

(Ciąg dalszy.)

— Czy już uprzędłaś na koszulę ślubną?

— Uprzędłam.

— To możesz zaraz pójść ze mną.

— A dla czego tak spiesznie?

— Nie mogę inaczej, moja miła! Jutro mam wyruszyć na wojnę, a chciałbym iżbyś mnie w domu zastępowała i gdy powrócę, jako żona mnie powitała.

— Ale co matka na to powie?

— Będzie zadowolniona.

Po tej rozmowie udali się do matki, której młodzieniec swe życzenie przedstawił. Twarz jej zasępiła się, bo sobie w cichości zupełnie inny plan była ułożyła. Lecz cóż miała czynić? Musiała się zastósować do woli bogatego oblubieńca.

Gdy parę błogosławiła, rzekł młodzieniec do niej:

— Weźcie swoje rzeczy i przybądźcie do Dobroty, aby nie tęskniła. Gdy do miasta przybędziecie, pytajcie się tylko na zamku książęcym o Dobromiła, a ludzie Wam pokażą, dokąd się udać macie.

Potem wziął płaczącą Dobrotę za rękę, posadził przed sobą na konia i spiesznie odjechał.

W książęcym zamku zebrało się wiele ludzi: wszystko zbroiło się na wojnę. Kilku jednak stało przy bramie i zdawało się, jakoby kogo oczekiwało. Wtem ukazał się jeździec, mający przed sobą na koniu dziewicę, której piękność do białego dnia była podobna. Jedzie! — krzyknęli, że aż zamek się zatrząsł, i wszyscy porzuciwszy swe prace, pobiegli do bramy. Gdy Dobromił z Dobrotą na dziedziniec zamkowy wjechał, tłoczyli się wszyscy ku nim i jakby się umówili, jeden powszechny głos zagrzmiał: „Niech żyje nasza Księżna!" „Niech żyje nasz Książe!" — Dobrota była jak we śnie i nie wiedziała co o tem sądzić.

— Dobromile, jesteśże ty książęciem? — zapytała, wpatrując się w jego promieniste oblicze.

— Jestem nim. Czy ci to nie miło?

— Mnie to wszystko jedno; bądź, kim chcesz; lecz powiedz, czemużeś mnie tak zwodził?

— Jam ciebie nie zwodził; wszakże ci mówiłem, że się twój sen ziści, jeśli mnie weźmiesz za męża.

Do wesela nie było onemi czasy potrzeba tyle przygotowań jak teraz. Jeśli się dwoje umiłowało i rodzice zezwolili, rzecz była skończona. Dla tego Dobromił swą Dobrotę natychmiast ludziom przedstawił, poczem się udali na wielką salę, gdzie aż późno w noc przy weselnej uczcie siedzieli. Drugiego dnia pożegnał młodą żonę i pojechał na wojnę.

Jak zbłąkane jagnię chodziła młoda księżna po wspaniałym zamku, wolałaby w lesie hasać i w samotnej chacie przybycia swego męża oczekiwać, aniżeli tu, gdzie jej tęskno było jak u obcych. Lecz to niedługo trwało; w pół dnia już sobie przez swą dobroć i serdeczność wszystkich zjednała.

Następnego dnia posłała po matkę. Ta przybyła i przyniosła jej kołowrotek. — Teraz się nudy skończyły. Dobrota myślała, że to dla matki przyjemną będzie niespodzianką, gdy usłyszy czem jej córka została, ta jednak ponuro na wszystko spoglądała, bo sobie życzyła w sercu, żeby takiego szczęścia używała Złoboga. To ją więc gryzło.

Po kilku dniach rzekła do Dobroty.

— Wiem kochana córko, że ci twoja sio-

stra wiele złego wyrządziła; ona tego żałuje. Przebacz jej więc i weź ją do siebie!

— Chętnem sercem byłabym to już uczyniła, gdybym była mogła się spodziewać, że do mnie przyjdzie. Jeźli chcecie, to natychmiast po nią pojedziemy.

— Dobrze więc, jedźmy!

Na rozkaz księżny powóz zajechał, do którego obie wsiadły i pojechały do lasu. Na brzegu jego wysiadłszy, rozkazała słudze, iżby czekał, i udała się z matką do chaty. Gdy się do niej zbliżały, wybiegła przeciwko nim Złoboga, ucałowała szczęśliwą siostrę, życząc żeby jej się zawsze tak dobrze powodziło. Potem wprowadziły ją do izby, lecz ledwie próg przeszła, okrutnie schwyciły ją obie, a Złoboga miany już na pogotowiu nóż szeroki, utopiła w jej łonie. Potem ucięły jej ręce i nogi, wyłupiły oczy i zawlokły tak pokaleczone ciało do lasu. Oczy zaś, nogi, i ręce schowały i wzięły z sobą do zamku, w tym zabobonie iż książę nie kochałby Złobogi tak bardzo, gdyby z dawniejszej żony choć cokolwiek w domu nie było. Złoboga ubrała się w suknie Dobroty i opuściły chatę. Za lasem wsiadły do powozu i pojechały do zamku. W zamku nikt nie spostrzegł, że to nie prawdziwa pani; sługom się tylko zdawało że ich pani z początku lepszą była, niż teraz.

Tymczasem biedna Dobrota jeszcze żyła; po kilku godzinach przyszła do zmysłów i naraz uczuła, że jakaś ciepła ręka ją głaszcze i krople w usta jej wpuszcza. Ktoby to czynił, tego nie mogła wiedzieć, bo nie miała oczu. Gdy sobie powoli wszystko przypomniała, poczęła na wyrodną matkę i okrutną siostrę narzekać.

— Uspokój się moje dziecię i nie narzekaj! dał się słyszeć głos cichy obok niej. Wszystko się to szczęśliwie skończy.

— Ach, jakże to być może, kiedy nie mam ani oczu, ani nóg, ani rąk! Już nie zobaczę jasnego słońca i zielonego gaju, już nigdy nie uścisnę mego Dobromiła, już nigdy na koszule prząść nie będę. Cóżem zawiniła! okrutna matko, i jeszcze okrutniejsza siostro, żeście mnie tak nieszczęśliwą uczyniły?

Tymczasem starzec, który był z nią mówił i nadzieją ją zasilał, wyszedł z jaskini, w której się znajdowali i zawołał po trzykroć, poczem przybiegł chłopiec i zapytał czego żąda. Kazał mu zaczekać póki nie powróci. Po chwili przyniósł złoty kołowrotek i rzekł:

— Z tym kołowrotkiem pójdziesz do miasta, do zamku książęcego. Tam z nim usiądziesz, a gdy ci się kto zapyta co kosztuje, powiesz: Dwoje oczu, i nie dasz go nikomu, ktoby ci dwojga oczu nie przyniósł. Z tem zleceniem odesławszy chłopca, powrócił do Dobroty.

Chłopiec poszedł do miasta i udał się wprost do zamku, gdzie z kołowrotkiem przy bramie usiadł, właśnie gdy Złoboga z matką powracały z przechadzki.

— Patrzcie, matko, — zawołała, — co za wspaniały kołowrotek! Na tym i ja bym prząść potrafiła. Poczekajcie, zapytam się czy jest na sprzedaż.

I przybliżywszy się do chłopca zapytała ile za kołowrotek żąda.

— Dwoje oczy, pani!

— Dwoje oczu?

— Tak jest.

— To rzecz dziwna. Dla czego właśnie dwoje oczu?

— Tego nie wiem. Ojciec tak rozkazał, zatem nie wolno mi kołowrotka sprzedać za pieniądze.

Złoboga nieustannie oglądała kołowrotek, a im bardziej mu się przypatrywała, tym bardziej się jej podobał. Wtem przypomniała sobie oczy Dobroty.

— Moja matko, — rzekła, — jako księżna powinnam koniecznie coś mieć, czegoby nikt nie miał. Książę gdy wróci do domu będzie chciał, żebym przędła, a zważcie, jak to pięknie będzie, gdy na złotym kołowrotku prząść będę. Schowaliśmy oczy Dobroty, dajmy je za niego; wszakże nam jeszcze ręce i nogi pozostaną!

Matka również lekkomyślna jak córka, zezwoliła na to. Złoboga przyniosła oczy siostry i dała je za kołowrotek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KLARA
— CZYLI —
ZWYCIĘZTWO CNOTY.
POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

ROZDZIAŁ I.

Klara i jej matka Kunegunda.

W starym zamczysku Wolfsbrun żyła przed dawnemi laty szlachetna Kunegunda, wdowa po rycerzu znakomitym. Gród ten, niegdyś wspaniały, był prawie do szczętu zburzony podczas wojny. Niszczące płomienie oszczędziły tylko kilka komnat w dolnem piętrze, i te to zamieszkiwała Kunegunda. Jej ojciec zginął na polu chwały, a po jego śmierci dostały się wszystkie jego posiadłości, urodzajne pola i rozległe lasy w obce ręce. Z łaski tylko dozwolono Kunegundzie mieszkać w zburzonym zamku, i nikt nie pomyślał nawet o odbudowaniu tego grodu wspaniałego, bo żałowano ku temu wydatków. Tymczasem na gruzach wzrastały zwolna jodły, sosny i dęby, a zgruchotane baszty i wieże pokrywał mech i polne zioła.

Kunegunda była ostatnim potomkiem swego rodu. Jej matka umarła jeszcze przed ojcem, a krewnych nie miała wcale. Biedna, opuszczona, samotna na całym rozległym świecie, oddała swą rękę człowiekowi, który przewyższał wprawdzie niejednego rycerza swem męztwem i cnotą, lecz który z nizkiego pochodził urodzenia, i tylko osobistej swej waleczności zawdzięczał stopień kapitana. W bitwie pod * * * został śmiertelnie raniony i umarł wkrótce chwalebną śmiercią za ojczyznę. Żołd, z którego utrzymywał swą żonę, zakończył się wraz z życiem jego. Biedna wdowa ograniczała się odtąd ile możności. Nie ubierała się lepiej od żon urzędników, których odzież w owych czasach bardzo skromną była. Nie wstydziła się także zarabiać pracą rąk swoich, i przędła lub wyszywała od rana do nocy z niezmordowaną pilnością. Mimo tego wszystkiego była wkrótce zmuszoną spieniężyć ostatnie swe klejnoty, któremi się niegdyś zdobiła, by tem opędzić niezbędne do życia potrzeby.

Jedyną jej pociechą na świecie była jej córka Klara, która przy śmierci ojca zaledwo lat sześć liczyła. Wychować dobrze to dziecię, było jej największem, oraz najmilszem staraniem. Uczyła Klarę wszystkiego, co tylko kobiecie pożytecznem i zbawiennem być może, a przedewszystkiem wpajała w nię miłość ku Bogu i oświecała ją o prawdach religii naszej. Klara kochała swą matkę z całej duszy, a jej bystry rozum, żywe uczucie dla wszystkiego co piękne i dobre, tudzież uwaga, z jaką słów matki słuchała, jej dobrowolne posłuszeństwo i serdeczna pobożność, rokowały kochającemu sercu Kunegundy najpiękniejsze nadzieje o swej córce. Obiedwie żyły pomimo swego ubóztwa swobodnie i zadowolnione w swem małem lecz chędogiem pomieszkaniu, z którego okien wychodził piękny widok na zieloną dolinę, pokrytą chatkami wieśniaków i uwieńczoną na krańcach widnokręgu ciemnych lasów pasmem. Dawniejszy ogród zamkowy, który Kunegundzie wolno było uprawiać, stanowił dla matki i córki miłe i pożyteczne zatrudnienie. Sad zaś, który jej także zostawiono, przynosił corocznie mnóstwo smacznych owoców.

Kunegunda żyła z swą córką samotnie w tem miłem ustroniu. Szlachta z okolicy nie odwiedzała jej nigdy, i czasem tylko jaka wieśniaczka zjawiła się, prosząc o radę lub pociechę pobożnej, doświadczonej matrony, lub zamawiając sobie u niej jaką robotę. Matka i córka nie bywały też nigdzie, prócz w kościołku przyległej wioski, gdzie nawet podczas słoty i mrozu żadnego nie opuściły nabożeństwa i całej parafii za wzór pobożności służyły.

Tak wzrastała Klara na kwitnącą dziewicę. Była ona nadzwyczaj piękną, a niewinna prostota, którą tchnęła cała jej postać, dawała jej tem większego uroku. Była przytem tak słodką, łagodną, uprzejmą i miłą, iż wieśniacy, którzy ją znali, przyrównywali ją zwykle do anioła. Matka, która całe swe życie poświęciła na dobre wychowanie swej córki, podwajała swą baczność, bo Klara była teraz w wieku, w którym młodej dziewczynie niejedno grozi niebezpieczeństwo.

O milę od Wolfsbrunu mieszkał stary leśniczy, którego nieboszczyk, ojciec Kunegundy, lubił bardzo, i oddał mu dozór nad swemi lasami. Pewnego dnia przyszła wnuczka jego, skromna i roztropna dziewczynka, prosząc Klarę, by była tak dobrą i uczyła ją robić pończochy. Klara przystała chętnie na to, i odtąd młoda Wanda chodziła trzy razy w tydzień na naukę. Klara uczyła ją także szyć i haftować i cieszyła się serdecznie z widocznych postępów Wandy. Obiedwie dziewczyny spędzały bardzo przyjemne chwile przy pracy, i opowiadały sobie wiele rzeczy z lat dziecinnych, bo ojciec Wandy był giermkiem u ojca Klary, towarzyszył mu w niejednej bitwie i opowiadał swej córce rozmaite przygody, o których Klara nigdy nie słyszała.

Razu jednego Wanda zachorowała. Klara odwiedzała ją często, przynosiła jej różne owoce i konfitury, które wspólnie były robiły. Wanda cieszyła się niezmiernie z odwiedzin Klary, nietylko dla tego, że ta przyniosła jej zawsze co pokrzepiającego, lecz, że jej słowa były pełne pociechy i przyjaźni, i wzbudzały w niej nadzieję prędkiego wyzdrowienia.

Pewnego dnia w zimie, gdy Wanda mocniej była chorą niż zwykle, Klara wracała od niej późno wieczorem po wązkiej ścieżce, prowadzącej do jej starego zamczyska. Swobodna i wesoła, z uczuciem zadowolnienia w sercu z dobrego czynu, biegła do swego rodzinnego ustronia. Wtem ujrzała na dolinie biegnącego wilka, który spostrzegłszy ją stanął na chwilę, a potem pędem ku niej zmierzać zaczął. Strach śmiertelny ogarnął Klarę i chciała się ratować ucieczką. Już słyszała tentent i ziajanie zajadłego zwierza tuż za sobą, gdy utraciła zmysły z przerażenia, potknęła się o kamień i upadła zemdlona.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Kokoryczka, Sigillum Salomonis, rośnie po pagórkach w lasach; ma korzeń knotowaty biały, w poprzek ziemi ciągnący się; po jednej stronie prątka liście podobne babczanym, a po drugiej stronie czarne jagódki rodzi. Korzeń służy przeciw białym upławom i pomaga do sprawy małżeńskiej; leczy zewnętrznie podagrę i reumatyzm; do mycia się używany przyczynia piękności.

Konwalia, Lilium Convalium, znajoma z kwiatów białych, pachnących; rośnie po lasach wilgotnych. Kwiat służy na ból głowy i na drżenie serca; robią z niego wódkę konwaliową. Ocet w którymby kwiat był moczony i co rok odświeżany, jest im starszy tem skuteczniejszy na ból głowy, i bardzo skuteczny w początkach manii.

Kopr pospolity, liście i kwiat sen sprawują, i uśmierzają żądze nieczyste. Nasienie mamkom pokarm przymnaża.

Kopytnik ziele, rośnie w cienistych lasach, przy leszczynie; korzeń służy na ból głowy, na febrę, kaszel i żółtaczkę.

Kosmaczek ziele, znajduje się pomiędzy łąkami na piaszczystych gruntach; a wlecze się po ziemi, latem i zimą zielenieje: liście ma białawe i kosmate, z pod których wyrastają kwiatki żółte; ma ono sok mleczny; bardzo pomocny dla przełamanych dzieci.

Kruszyna, krzew rosły, ma korę brunatną, liście podłużno-okrągłe, kwiat biały, jagody czarne, drzewo lekkie i kruche. Kora gwałtowne laxy sprawuje; służy na parchy i bolenie zębów.

Krwawnik ziele, Millefolium, ma kwiatki białe. Wewnętrznie zażyte ma moc rozwalniania i otwierania żołądka; a zewnętrznie służy na puchlinę i rozpalenie rany. Świeże ziele w nos wsadzone sprawuje krwi płynienie; a suche noszone na czole, uzdrawia oczy. (D. c. n.)